FRAGMENT.

Nie lubię cię, gdy śmiechem wybuchasz pajaca,
Choć ludzie to pochwalą; — bo co z pochwał tłumu,
Który klowna oklaski rzęsistszemi darzy,
Niż wieszcza najwznioślejsze głoszącego prawdy?

O! wierz mi, wielką moc ma Psyche nieśmiertelna!
I najnieprawidłowsze umié ona rysy
Wygładzić dłonią swoją, tchnąc w nie piękność boską.
Tak w urnie z alabastru rozniecony płomień
Przeniknie wątłe ścianki i czarze użyczy
Czarodziejskiéj poświaty srebrnego księżyca;
Lecz niechaj światło zgaśnie — i znów ona czara
Staje się marnym garnkiem, glinianym czerepem. —

Pomnę cię, gdy nad księgą poważną schylony
Na ręku białe swoje opierałeś skronie,
A jasna myśl niebianka dłońmi śnieżystemi
W posągu kształt, oblicze oblekała twoje. —
Nie miałeś boskich rysów Feba ni Erosa,
Ale biła od ciebie ta potężna siła,
Z jaką szli w świat najpierwsi Grecyi herosowie,
Którzy wielkich przeznaczeń znak na czołach nieśli.

O życie! czemu ty mi ręką nieżyczliwą
Często zasłaniasz cudne duszy méj widzenia?
Przecz z rysów ukochanych piętno boskie ścierasz,
Oblekając w zwyczajną ludzką pospolitość?

Czy ziemia znikczemniała dziś bóstw nie jest godna?
Więc zkądże w duszy mojéj ta wrząca tęsknota?
To niebieskiéj piękności wieczne pożądanie?

Zamarła dawna wiara w mściwe Eumenidy,
Dawne Bogi na tronach swych słonecznych zbladły;
Jakże przeto nazwiemy ono bóstwo srogie,
Bóstwo szydercze, które w ziemianach obudza
Pragnienia nienasytne — i do orlich lotów
Poduszcza tych szaleńców, nie dawszy wprzód skrzydeł?

O wynurz mi się znowu z szaréj mgły powszedniéj
Posągu cudny! Niech ci żywa, purpurowa
Do młodzieńczego serca krew falą nabieży,
Jak wonczas, kiedyś mędrców księgi myślą badał,
Lub gdy pierwszéj miłości blask nieopisany,
Na młodém twojém czole boską iskrą płonął!

Zostań tak. Na zachodzie płomieniste słońce
Za lazurową falę wielkiego jeziora
Zapada; łabędź biały piersią kraje tonie
I na spoczynek dąży; ale oczy moje
Widzą w źrenicach twoich nieśmiertelne światło,
Co jakby w alabastrze rozniecony płomień—
Przez tkankę ciała świadczy o myśli potężnéj.

Zostań tak. Wielkiém państwem jest piękna kraina,
Kędy miara i liczba mają berło swoje:
Gdzie się muzyka w takty rytmiczne układa,
A zaś harmonia linii wdzięcznie zestrojonych,
Jak nad tonią jeziora srebrnośnieżna lilia,
Wykwita po nad ziemią białym Partenonem.

Zostań tak, wiecznie młody i wiecznie pogodny,
Z wdziękiem łączący siłę, z myślą serce wrzące;
Z oczyma utkwionemi w wiekuiste piękno,
Którego sam dla ludzi masz się stać kanonem.

Stój tak. Niech namiętności ludzkich fala mętna
Nie obryzgawszy ciebie u stóp twoich spływa,
Jak burzliwa toń morska, co góry skalistéj
Nie mogąc skruszyć—wściekła—pianą stopy liże.

Stój tak w nienaruszonéj ciszy i pogodzie,
Spokojny, bo przeświadczon o własnéj potędze;
Stój tak, synu mych marzeń, i myśli twych gwiazdą
Opromieniaj szerokie świata widnokręgi;
Stój, atleto zaklęty, — aż przyjdzie godzina
Wcielić myśl twą, byt nadać duszy twéj pragnienom,
I orlim pędem rzucić się na czynu pole
Z miłością Chrystusową a siłą Herkula!

Jak piękny on! Jak piękny on,
Sen, marzeń moich dziecię!
Przez nieśmiertelny pieśni ton
Zaklinam cię, o świecie,

Nie budź mi go — ni gromem burz,
Ni grzmiącém hasłem boju;
Niech ptaszy śpiew i szelest zbóż
Kołyszą go w pokoju.

Niech żaden szał, niech żaden męt,
Nie splami jego czoła,
Aż czasu duch z zdrętwienia pęt
Do życia go powoła.

Więc chcę, by spał i Niebo śnił,
Nim trosk nań spadnie brzemię;
By w szczęsny dzień starczyło sił
Ideał znieść na ziemię.

Chór bachantek.

Héj, my zmącim tę ciszę!
Ot wiatr ciepły kołysze
Drzew wierzchołki i słońce zagasa:
Róże łona otwarły...
Héj, tytany czy karły,
Z nami w taniec! świat pląsa i hasa!

Mędrzec z ciężkim kłopotem,
Krwawym zlawszy się potem,

Jakąś myśl w mrokach nocy wyszperał:
Pytam — ona mu poco?
Czy się zewrze z niemocą?
Czy jak nędzarz nie będzie umiérał?

Prawdę zdobył — cóż tego,
Gdy dnie szybko tak biegą?
Kiedy śmierć za plecami się czai?
Winem nalej mi czaszę!
Dzisiaj tylko jest nasze;
Nie chcę wiedzieć co w jutrze się tai.

Bo dla kogóż stworzony
Ten świat z kwiatów miliony?
Skąd w krwi naszéj rozkoszne te dreszcze?
Do mnie piękny młodzieńcze!
Niech cię mirty uwieńczę,
Niech u łona mojego popieszczę.

Krew w twych żyłach nie woda, —
Więc szał, rozkosz, swoboda,
Dziś dziedzictwem są twojém wspaniałem:
Głupiec, kto się nie stara
Spełnić do dna puhara
W dniu, gdy szczęście jest jego udziałem.

Chyżo przędą nić Parki,
Prędko schylą się barki,
Troski włosy nad czołem przerzedzą:
Dziś — niech bogi cię strzegą
Od prac, cnót, prawd — drwij z tego;
W grobie o tém nic a nic nie wiedzą!

Drżę, o synu, czy cię chór ten czarami nie złudził?
Zdało mi się, żeś drgnął z lekka — czyliżbyś się budził?

Białe wieszczki.

Nad pola, góry i oceany
Wzbija się śpiéw mój, śpiéw mój wezbrany
Wrzącą tęsknotą całego świata;
Téj duchów rzeszy, co wiecznie wzlata

Po za ziemskiego bytu granice;
Piękny młodzieńcze, na twoje lice
Znak położyła dłoń boskiéj Psychy
I przebóstwiła gliny zlep lichy
W posąg cudowny; tyś mój na wieki.
Czy w słońce spojrzysz, czyli powieki
Spuścisz ku ziemi — ja pod nie złożę
Zaświatnych widzeń niezgasłe zorze,
Ja — stuimienna a nienazwana,
Kroplami rosy rankiem rozlana
Na wonne kwiaty, strojne barw tęczą,
Szumem puszcz, gwarem morza mówiąca,
Co budzę senną duszę młodzieńczą
Jak bard, gdy struny dłonią potrąca,
I niemėj lirze naraz użyczy
Cudnéj wymowy pieśni słowiczéj;
Aż w poślubionéj wiecznéj tęsknocie
Duszy téj pytań zbudzi się krocie;
Aż do swych ramion przypiąwszy skrzydła,
Zechce powietrze sfer wyższych chłonąć,
Aż myśli powié: nie znaj wędzidła,
Leć, choćby w żarach słońca ci spłonąć!

Odkąd w zwierzęcéj ciała powłoce,
W któréj szedł wieki człowieczy ród,
Jakieś się piérwsze zbudziły moce
I dziejów ducha począł się trud;

Odkąd wzrok utkwił w Niebios błękicie
I z oczu ludzkich spłynęły łzy,
Nas—białe wieszczki—zbudziło życie:
Ducha tęsknoty — to my!

Odkąd z twardego marmuru bryły
Pod rylcem piérwszy zbudził się bóg,
A ludzkość coraz rosnąca w siły
Na śmiałych badań wkroczyła próg,

Odkąd się ludzka myśl oskrzydlona
Na nieśmiertelne zdobyła sny —

Rozkwitłe w bozkim mózgu Platona —
Ducha porywy — to my!

. . . .

. . . .

Jakkolwiek człowiek zwie nasze moce —
Czyli je niegdyś bóstw mianem czcił,
Czy dziś, gdy wiary dawne druzgoce,
Wynikiem ślepych materyi sił
Ochrzcił — co z miana, gdy moc ta sama?
Czy on syn ziemi, czyli Adama —
To, co się w piersiach jego szamoce
W dnie przewalczone, w niespane noce,
Co orlim lotem oskrzydla pył,
Nieśmiertelności budząc w nim sny;
Żądza poznania, piękna pragnienia,
Wbitego na krzyż wzniosłe marzenia,
Pęd w nieskończoność — to my!

Chór bachantek.

Jaka woń! co tu róż —
Aż się pierś rozrywa!
Wino skrzy, pełen kruż
Aż za brzegi spływa...
Lśniących ócz, śnieżnych ciał
I ust koralowych
Ile chcesz da ci szał
W życia dniach majowych.
Zbudź się, zbudź, piękny mój,
Nie gardź życia darem;
Do mnie tu! pij i czuj
Póki krew wre warem.
Pieśni brzmij, ale ty,
O bachancki hymnie,
Co rozkoszne ślesz sny
Gdy się ciało zdrzémnie!
Wzniosłe mrzonki z czoła precz!
Prawem świata miłość;
Po co rzekę zwracać wstecz,
Gdy bieg gdzie pochyłość?

Ziemio, ziemio, pięknaś ty!
Cóżby mi po Niebie?
Piersi gorą, serce drży...
Chcę uścisnąć ciebie.
Rodzicielko, ja mą skroń
Na twe łono skłonię —
Dzięki ci... teraz w swą toń
Nicość niech mię chłonie!...

On.

Skąd ten śpiew? Co za dreszcz wstrząsnął mojém ciałem,
Co to jest? Gdziem ja był? Czy życie przespałem?
Czy chór dziew z sinych mórz wynurzył się łona?
Pała krew — gdzieżeś ty, o Psyche natchniona?
Z oczu mych znikasz mi, rozwiewasz się blada,
Jak blask zórz, gdy im Feb cios śmiertelny zada.
Jam cię czcił, wielbił cię, a tyś niedościgła;
Ogrom ksiąg nużył mózg i pierś moja stygła;
A ten śpiéw, a ten chór do życia mię budzi,
A więc szał! Jeszcze nikt nie szalał tak z ludzi!
W dni mych maj, w sił mych pełń — niechże mi do łona
Zbiegnie dziś ziemi cór rzesza ukwiecona!
Toast mnie! toast wam! Co z orły szybować?
Po co myśl? po co łzy, gdy można całować?
Toast mnie, toast wam! z dobrą falą płyńmy;
Do ust kruż! Hej — do dna! Gdy wychylim — zgińmy!

Chór wieszczek.

Uderzmy w harfy złote
I niech pieśń idzie w dal,
Nim — skazana na niemotę
Odejdę tłumiąc żal...

Oto duch młody i dzielny
Od Psychy stóp
Wstał — wir go porwał weselny
Wiodąc do zgub.

Opuścił wyższych bóstw ołtarze,
Piękności chram;

Śród pląsów, przy fletni gwarze
Urąga nam.

A tyle więzów nierozbitych,
Przesądów skał,
Tyle prawd jeszcze w mroku skrytych
Tyś zdobyć miał...

O biédnam ja, gdy mię zwycięża
Żądz brudnych szał,
I gdy na ziemi nie ma męża,
By w prawdzie trwał.

O płaczcie, siostry, czerw się lichy
W kwiat bujny wślizł —
I kochankowi boskiéj Psychy
Pierś stoczył, zgryzł!...

Nie, chórze białych dziew, jego to nie zabije.—
Toć i mnie się roiło chować go jedynie
Dla czynów i dzieł wielkich; lecz prawom natury,
Widzę, iż przegrod stawić nie winien śmiertelny.
Oto jego źrenice jeszcze toną we mgle
Błękitnéj ideału krainy — i marzeń
Zaświatnych,—lecz po ustach już uśmiéch miłosny
Przebiegł, jako o wiośnie błysk młodego słońca.

Rozkosz jest także siłą: ona w żyłach ziemi
Płynie i wiosną kwiatów pąkowia otwiéra;
W drzewach soki, a w sercach rozbudza tęsknoty;
Ona brzeg czary życia kwiatami przystraja
I nęci nas, chociażby gorycz była na dnie.
A gdy ciąg dni bolesnych do kresu dobiega —
My konający—jeszcze ku tym piérwszym kwiatom
Z uśmiechem upojenia obracamy oczy!

O! święć się, ty młodości wrzące pożądanie!
Bóstwo, co zbliżasz serca, zaplatasz ramiona
I rozgorzałe usta pocałunkiem łączysz!
Ty zdrowych ciał potrzebo, snów wieszcza podnieto,
Dawczyni szczęścia, przyszłych pokoleń rodzico,

Niech każdy wedle sił swych puhar twój wychyli,
Niewydziedziczon z prawa śmiertelnym wspólnego!

Nie,—choć uderzy serce marzeń moich syna
Wprzód, nim dłań śnionych czynów godzina wybije,
Ramie jego dość silne, by ziemskich cór wiele
Do swéj płomiennéj piersi przytulić uściskiem,
One mu wyższych życia celów nie przesłonią;
Bo kto raz widział Psychy rysy idealne
Już nigdy nie zapomni słodkiego oblicza
I—po chwilowym szale—jéj szatę błękitną
Z gorętszém uniesieniem do ust swych przyciśnie.

Lecz jeśliby starości dobiegł niedołężnéj,
Ust swych nie umoczywszy w rozkoszy napoju,
Choćby mu sława wieńce upłotła stokrotne,
Choćby na łonie Psychy konające skronie
Do snu wiekuistego łagodnie kołysał,
Jeszcze ostatnie jego słowo skargą krwawą,
A ostatnie westchnienie byłoby tęsknotą!

Mefisto.

Minęły czasy, gdy pastérz Chaldei
Dzieje gwiazd ruchu z księgi Niebios czytał,
Lub gdy śród kolumn greckich Propilei
O jéj genezę mędrzec ziemię pytał.

Minęły czasy Faustowych dociekań,
Czasy romantycznych bredni. —
Dziś — gdy usłyszysz jęk narzekań,
To troska o chléb powszedni.

Jeżeli głębszy kufel sobie nalać,
Albo grzbiet oblec zdołałeś, o człeku,
W cieńszą tkaninę — będę cię wychwalać,
Boś szedł z duchem twego wieku.

Ha! nie zaprzeczę — i nasze stulecie
Miewa swoich Donkiszotów:
Bo świat-by spleśniał, wy to dobrze wiécie,
Gdyby zawsze nie był gotów

Jakiś waryat go popchnąć. Dokąd? Czy ku słońcu?
Ech, o tém gadaćby wiele;
Dość że naprzód: gwar, krzyk... i co w końcu?
Ot — czaszka i dwa piszczele.

A czy widzicie, jak ten grymas trupi,
Z jakimś szyderczym chychotem,
Zda się powtarza: głupi ludzie! głupi!
Lecz — miałem mówić nie o tém.

Usłyszałem jakoweś szlochy i lamenty,
Doprawdy śmieszne dla światłych umysłów:
Te — wzbudzając zapał święty,
Owe — w imię wrzących zmysłów

Przywabiają młokosa, spór o niego toczą;
A tamta, wróżka niby, — nie wiem co za licho?
Na ton podniosły mowę nastraja proroczo,
Jak gdyby wczoraj widziała się z Psychą

I wszystkie tajemnice niebieskie posiadła.
Słuchajcież mię, moje panie!
Nie cuglić Rossynantów! Żadna z was nie zgadła,
Co się z tym gagatkiem stanie.

A więc, ja wam opowiem.—W błękit zapatrzony,
Przestoi on krótką chwilę,
Boć nikt nie przeczy, że młodość wiek-to szalony,
Że Psychy skrzydła motyle

Jéj są wymysłem, że na nich ulata
I gwiazdę nosi na czole;
I — może w wiekach bohatérskich świata
Motyl w końcu na pióra wzmógłby się sokole?

Wszak byli pono tacy, jak baśń gwarzy?
Przeminą wzniosłe androny:
Krew ogniem zakipiała, młodzieniec wymarzy
Losy kochanka Herony.

I znowu — kto wié? — gdyby wznowić czasy,
Które sławią trubadury,

Może pod godłem lubéj toczyłby zapasy
Z wrogiem—i szturmem brał mury?

Lecz dziś to nie na dobie: pordzewiały włócznie,
W prochu śpią ich posiadacze;
Dzisiaj ja go pomiędzy moje wliczę ucznie
I szlak łatwiejszy wyznaczę.

Zamiast łbem bić o Niebo, śnić Ikara loty,
Ginąc za lubéj uściski,
Niech się lepiéj nauczy, jak z ludzkiéj głupoty
Pewniejsze wyciągać zyski.

Nigdy się z wyższą myślą przed tłumem nie zdradzić,
Nad innych nie wznosić głowy,
Własną swoję istotę ociosać, ogładzić,
Jak gładki pionek szachowy.

Pomniéć, że marzycielstwo dziś obudza litość,
A więc go strzedz się jak zbrodni;
Miéć za jedyne bóstwa — dobrobyt i sytość,
Bo szubrawcami są głodni.

Szydzić z gwałtownych uczuć, tych szumnych wiatraków
Słynnego rycerza z Manszy.
Anioł czy kurtyzana—wierzcie—smak jednaków,
A drugi towar jest tańszy.

Zamiast walczyć z burzami, drzéć się na urwisko,
Gdzie kwiat paproci wykwita,
I innym głupcom z siebie czynić pośmiewisko,
Ot — kupić bydlę — i kwita!

Niech jeszcze przy zielonym posadzę stoliku —
To działa jak najskuteczniéj:
Postępowych narwańców miałem już bez liku
A dziś to ludzie stateczni.

I pytam po co płakać, zaklinać gwałtownie?
Wszak ja się na tém znam!
Dość tylko postępować rozumnie, taktownie
A z piedestału zejdzie sam.

Jam przecie nie dzisiejszy — i młódź nie od roku
Ta dłoń w świat pcha:
Ten, ów wierzgnie, lecz chomont lekki przy obroku,
Cha! cha! cha! cha!

Oto recepta jest, panie,
I djablim honorem ręczę,
Że dwukrotne leków danie
Rozproszy fochy młodzieńcze;

Że pieszczoch Muz a wasz gagatek
Swéj braci stanie się echem
I gdy przypomni szały młodych latek,
To z pobłażliwym uśmiechem.

Bo — co najprędzéj ściąga z niebiosów —
To łatwych uciech obfitość;
I największy wróg herosów,
Rdza stali to — pospolitość.

Przez nią on będzie gładki, ugrzeczniony.
Taki filister, choć przyłóż do rany:
Z krągłym brzuszkiem, z łysiną, w sobie rozkochany...
Co? mucha brzęczy: zginiony! zginiony!

Zginiony? tak — zginiony! — Słyszę ryk gawiedzi
Wybuchającéj wściekłym urągania śmiechem,
Szczęśliwa — dzisiaj może plunąć w twarz bezkarnie
Olbrzymowi, któremu wprzód stóp nie sięgała!

A cóż ja pocznę z tobą, biedne serce moje?
Dłużéj niźli przez wieki, bo przez życie całe,
Goniłoś za Niebieskim piękna pierwowzorem,
A kiedyś je ujrzało w kształt ludzki zaklęte,
Ono zgasło, jak błędny ognik nad moczarem. —
I nic — i nic dokoła? I brudna poczwara
Ćwiartuje boskie ciało, boleści urąga,
Twierdząc, jako na ziemi znikła wzniosłość wszelka.

O gdyby mi się w posąg zamienić Nioby,
Co z pod kamiennych powiek łez wiecznych zdrój toczy;
O gdyby tak skamienieć! Boć cięższa ma dola
Niźli téj, któréj dzieci bóg mściwy wystrzelał:

One zgasły niewinne w niebiańskiéj urodzie
I żaden ich gad podły jadem nie splugawił.

Tyś jest, o serce moje, jako łódź na morzu
Bez steru, dzikim wichrom zdana na igraszkę;
A gdzież jest przystań dla cię? Czy wy istniejecie,
Ziemi czy Nieb potęgi, o których świat baje?
Ha! Nauczcież mnie ciężką dolę mą przenosić,
Płaszczem dumy królewskiéj srogie kryjąc rany:
Niechaj weń upowiję pierś moję skrwawioną
I marzeń moich syna posąg roztrzaskany.

Głos.

Na skale Leukaty postać blada
Z rozwianym włosem chwieje się, chwieje
I śnieżną piersią w odmęt pada...
Płacz, świecie, lutnia niemieje
I nie zabrzmi już pieśnią namiętną Safony...

Więc tak? I mnie w śmierć się rzucić?
I na ideał mój skruszony
Nigdy już oczu nie zwrócić?

I dozwolić zewłok jego święty
Szarpać kpów zgrai przeklętéj?

Nie! ja nie oddam go, bo pięknym był!
Choć dziś to serce nie bije,
Ja wtrysnę w nie krew z moich żył,
W całuny wspomnień spowiję.

I zawieszę w przestrzeni, w kryształowéj trumnie
Poezyi — jak śpiącego baśni królewica,
A kogo znęci piękna tajemnica,
Ten w górę wzbije się ku mnie!
Gdzie o moję pierś oparty,
Na pościeli z róż pąkowia,
Uśnie on — a wieszczki warty
Pełnić będą u wezgłowia.

Ja — pra-pieśń — starsza niźli rapsody Homera,
Niż najdawniejszych mitów baśń,
Com ducha, gdy się z ciała pomroki wydziera,
Wiodła w Nieb jaśń;

Com go w moje piastuńcze ujęła ramiona,
Odkąd pierwszy bełkot słowa
Wskazał, że myśl w nim przebudzona
W byt samowiedny przejść gotowa;

Com ze szczebla na szczebel śród nowych przebudzeń
Witała każdy jego jaw,
Gdy szukał, party czarem tajemniczych złudzeń —
Wszechświata praw:

Ja wiem —
Co czuje duch, nim myśl swą odrze z wyższéj treści,
Z boskości cech:
Wiem, że najwięcéj boli z duchowych boleści
Nad sobą śmiech.

Więc i tego dziś szarpać wy mieć możecie czelność,
Gdy padł bez sił,
Ale ja go ukocham na całą nieśmiertelność,
Bo pięknym był!

Adam M—ski.